

## Bebok, białe drzewo i pozytywka

W pewnej odległej krainie, w niewielkim miasteczku, przy zacisznej uliczce stał dom. W domu był antryj, a w antryju stał potężny, wiekowy byfyj. A na tym byfyju stała... nie, nie szolka tyju, tylko pozytywka. Jednak nie taka zwykła, bynajmniej! Tę pozytywkę postawił tam potężny czarodziej. Zanim spakował walizę, wziął podniszczony parasol i wyruszył do Indii, rozegrać partyjkę szkata z bardzo uczonym słoniem. Zostawmy jednak na razie pogrążony w półmroku antryj i pokryty grubą warstwą kurzu byfyj. Wrócimy do nich we właściwym momencie.

Daleko, daleko, w głębi gęstego, prastarego lasu, rosło wyjątkowe drzewo. Miało śnieżnobiałą, gładką i śliską korę. Pień nie był bardzo gruby, ale żadna burza nie dałaby mu rady. Gałęzie przypominały batuty dyrygenta – były pozbawione jakichkolwiek nierówności, wszystkie tej samej długości, lśniły nieskazitelną bielą, zupełnie jakby ktoś wykonał je na zamówienie. Liści i owoców nie było żadnych, nigdy. Drzewo spało przez większą część roku. Choćby po lesie szalała najdziksza wichura, a inne drzewa gięły się niemal do samej ziemi, ono stało nieporuszone. Ani jedna gałązka nie drgnęła. Takie moce jak wiatr, zamieć, czy furia leśnych zwierząt nie mogły poruszyć białym drzewem. Budziło się pod koniec jesieni, a wówczas z białego stawało się całe czarne. A była to najintensywniejsza czerń, jaką można sobie wyobrazić, porównywalna może tylko z barwą węgla. Konary ożywały i zaczynały się poruszać, z początku dość leniwie, potem coraz szybciej i szybciej. Drzewo wymachiwało dziesiątkami pałeczek, a las wypełniała zaczarowana, uroczysta muzyka orkiestry dętej. Kto grał? Nie wiadomo. Wszystkie zwierzęta przystawały zasłuchane. Muzyka budziła w ich sercach radość, nadzieję, ale i strach. Czują, że gdyby słuchały jeszcze chwilę dłużej, już nigdy nie uwolniłyby się spod jej uroku. Małe wiewiórki zaciskały powieki, przytulone do swoich mamus. Królik, zastygły w bezruchu, ronił wielką, opalizującą łzę. Na kilka chwil, w lesie władzę obejmowały czary. W pobliskim miasteczku muzyka była ledwie słyszalna. Wiatr przynosił pojedyncze takty i tony. Dziwna rzecz, wyraźnie słyszały ją tylko kobiety i dziewczynki, którym było na imię Barbara. Cały dzień chodziły smutne i zamyślane, bo muzyka poruszała w ich duszach czułą strunę, która drgała jeszcze długo potem.

Jednak to wcale nie ten koncert czynił białe drzewo tak wyjątkowym. Kiedy gałęzie szalały, budząc czarodziejskie dźwięki, głęboko pod ziemią, w płataninie kłączy, wielkie, czarne ślepia otwierały beboki. Te niezwykle istoty rodziły się w korzeniach białego drzewa i z początkiem zimy wychodziły na świat. Oprócz okrągłych, przerażających oczu, wyróżniały je: gęsta szczecina, niewielki wzrost i kopyta. Słowem, nie były podobne ani do człowieka, ani do zwierzęcia. Cechowała je bowiem złośliwość obca zwierzętom, a przy tym spryt, determinacja, zręczność i okrucieństwo. Wszystkich tych cech używały w jednym celu – dostania się do ludzkich siedzib, dokuczenia ich mieszkańcom, a najlepiej przejęcia domostwa we władanie. Było już w okolicznych

miasteczkach kilka takich opustoszałych domów, w których zagnieździły się złośliwe beboki. Mieszkańcy opuszczali je pośpiesznie, pod osłoną nocy, rzucając za siebie lękliwe spojrzenia. Tymczasem beboki, jak zaraza, rozpierzchały się po nowo zdobytej siedzibie. Nic tak nie radowało te stwory, jak chaos i rozkład. Takie właśnie wypaczone prawa zaprowadzały w domostwach, do których się dostały. Teraz pewnie zastanawiacie się, czy dom z antryjem, byfyjem i pozytywką także wzięły w swoje władanie? Nic podobnego, czarodziej zabezpieczył go potężnym czarem. Póki w domu jest pozytywka, żadna zła siła, nie może przekroczyć progu.

Tego roku wylęgło się tych szkarad wyjątkowo dużo, ale też drzewo, o ile to w ogóle możliwe, poczerniało mocniej niż zwykle. Głośniejsza też, i bardziej przejmująca, była czarodziejska muzyka. Wszystkie paskudy wygrzebały się na powierzchnię ziemi, jeden tylko bebok został w tyle za innymi. Pragnął pozostać w kołysce z korzeni drzewa i spać przytulony do kamienia. Wiedział jednak, że odwieczne prawo nakazuje jego gatunkowi wyruszyć w świat, by siać zniszczenie. Mało zdecydowanymi ruchami odgarnął glebę i wyjrzał na powierzchnię. Światło słoneczne wydało mu się cudem. Zauważył swych braci; poszturchiwali się i tarmosili wśród zwiędłych liści. Chciał się do nich zbliżyć, lecz oni wszyscy odsunęli się nieufnie. Ich szkaradne pyszczki stały się czujne i napięte.

– Tfu, tfu, khhhhhhhhhh – dało się słyszeć ze wszystkich stron. – Khhhhhh, sio, sio!

Takimi okrzykami witały go najbliższe istoty. Na dodatek zaczęły szczerzyć ostrzegawczo zęby i gniewnie tupać. Ostatni bebok zrobił kilka kroków w tył, wreszcie odwrócił się i zaczął biec. Ile sił w kopytkach. Biegł i biegł, a z każdą chwilą czuł się bardziej smutny, ale też bardziej wolny. Przystanął dopiero na skraju lasu. Gdzieś pod skórą odczuwał nadal moc białego drzewa, przyzywała go i chciała nim zawładnąć. Przysiadł na chwilę w pożółkłej trawie. Słońce właśnie leniwie toczyło się ku zachodowi. Świat był ogromny. Świat był darem.

Nawet nie wiedział kiedy zbliżyła się do niego mysz. Była duża, miała mądre, brązowe oczy i szare futerko. Obeszła beboka kilka razy, przysiadła na tylnych łapach i odezwała się:

– Takie to. Proszę, proszę. Inne to. Ładne.

Bebok zwrócił na nią swe zdumione, wystraszone ślepie.

– Nie widziało się chyba jeszcze. Nie wie, że inne, ładne – mysz zakręciła się wkoło i podniosła z trawy ciemne szkiełko.

– Zobaczysz ono. Zobaczysz. Dziś tylko jeden gatunek istot szaleje w lesie. Musi ono być bebokiem. Proszę, proszę i takie to jest, takie – to mówiąc zwierzątko wyciągnęło szkiełko w kierunku beboka. W szkle odbiła się postać zupełnie niepodobna do reszty miotu. Futro było białe, oczy złote, a kopytka niby z masy perłowej. Miał też ten odmieniec piękne uszy, gdy u pozostałych albo uszu nie było wcale, albo ukryte były głęboko pod sierścią.

– Ono ładne. Skoro ono ładne, na pewno potrafi mówić. Niech spróbuje – mysz wykonała

zachęcający gest.

– Khhhhhhhhh, khhhhhhhhhhhhh – bełkotał bebok, naśladując swych braci.

– Ono ładne, umie mówić ładnie. Niech mówi ze środka, nie z kopyt, nie z sierści. Ono ma duszę – przekonywała mysz.

– Kh, kh – syczał smutno stworek. Mysz dostrzegła jego melancholię. Pomyślała chwilę, po czym odezwała się wolno:

– Nie lubię beboków. Nikt nie lubi. Beboka znieść może tylko inny bebok. Mogło być czymś lepszym, ale jest nieszczęśliwe. Nie chce być piękne, chce być ze swymi. To jego przeznaczenie. Skoro tu jest samo, to znaczy, że inne odpędziły. Niech posłucha – mysz patrzyła prosto w oczy stworzonka. – Tam za łąką jest miasteczko. W miasteczku mała uliczka, przy niej pusty dom. Pozna, bo przed domem leżą trzy duże kamienie, w równych odstępach. Niech ono – inne, ładne – idzie tam. Niech wejdzie do środka. Kamienie przepuszczą. Niech znajdzie stary byfj, a na nim pozytywkę. Niech otworzy i posłucha melodii. Kiedy się melodia skończy, stanie się szkaradne, jak jego pobratymcy. Nie będzie już tego można cofnąć. Niech weźmie trochę magii dla siebie. Stary czarodziej by pozwolił. I on nie lubił beboków, ale nie lubił też smutku – przekonywała mysz.

Bebok nie namyślał się. Co miał zrobić? Kim być? Pognał przez łąkę, a za nim postępował mrok wieczoru. Perłowe kopytka zapadały się w grząskim gruncie. Światła miasta wabiły go i ciekawiły. Jednak noc była szybsza niż zagubione stworzonko. Dopadła go tuż przed pierwszymi domami osady. Bebok wlaźł przez dziurę do starej stodoły i zasnął, zagrzebany w sianie. Promienie słońca obudziły go, jednak nie swym blaskiem, ale jakby dźwiękiem. Wydawało mu się, że to dzwonki grają mu nad głową. A to było słońce. Rażno ruszył szukać owego dziwnego domu, a w nim pozytywki. Czym jest pozytywka? Nie wiedział. Uczył się dopiero świata. Beboki, gdy się rodzą wiedzą bardzo niewiele. Wiedzą, jak znaleźć ludzkie siedziby, wiedzą jak śmietanę skwasić, jak uszczypnąć dziecko, by całą noc płakało. Nasz bebok nawet tego nie wiedział. Podążył za słonecznymi promieniami, które go, jakby po sznurku, prowadziły. Bez trudu znalazł malutką uliczkę i dom z trzema, identycznymi kamieniami przed drzwiami. Czarodziej je tam zostawił, by broniły wstępu. Żadnej złej sile nie wolno było wejść do środka. Gdy tylko bebok się zbliżył, kamień z lewej strony odezwał się mocnym głosem, niby z głębi studni:

– Przyszedł ktoś. Zajrzyj mu w duszę Ropucho.

Kamień z prawej odpowiedział równie grobowym, wywołującym ciarki na plecach, głosem:

– Zajrzałam od razu, ledwie się zbliżył, mój Skrzacie. Nie widzę tam bagna, nie ma nocy.

Kamień z lewej odpowiedział:

– Ale czy jest co dobrego? Jedna dobra myśl? Szlachetne pragnienie? Rozsądź Korono.

Teraz z kolei odezwał się środkowy głaz. Jego głos brzmiał jak łoskot kamiennej lawiny:

– Rozsądzę, ocenię. Jeśli nic nie znajdę, wtedy skoczę mu na głowę – zagrzechotał złowieszczo.

Nastąpiła cisza. Bebok uczynił krok do przodu, ale nic się nie stało. Najwyraźniej kamienie zdecydowały, że może przejść. Stworek wszedł do chłodnego antryju, do którego docierało niewiele światła przez brudne szybki. Od razu dostrzegł majestatyczny byfj, który wznosił się przed nim niczym góra. Zaczął się z mozołem wspinać, aż stanął na zakurzonym blacie. Jego oczom ukazała się rzecz niepojęta w swej cudowności. Złoto-biała pozytywka – przypominała kształtem kulę, przez którą biegła linia zdradzająca, gdzie zaczyna się wieczko. Zdobily ją malowane połyskliwą farbą scenki przedstawiające robienie makaronu do niedzielnego rosółu. Fantazyjne, złote nitki wiły się dookoła podstawy. Bebok zebrał się w sobie i dźwignął wieczko. Uniosło się zaskakująco łatwo. Równocześnie, w pomieszczeniu rozległa się cudowna muzyczka. To jednak nie był koniec czarodziejskich niespodzianek! Oczom beboka ukazał się maleńki rajski ogród, ukryty wewnątrz zabawki. Wszystko kręciło się i wirowało, miniaturowe ptaki przysiadaly na drzewach, po stawie pływały łabędzie i kaczki, kwiaty otwierały i zamykały swe kielichy. Bebok patrzył jak urzeczony. Nie czuł już żadnej łączności z białym drzewem. Niewidzialna nić zerwała się, a stworek miał wrażenie, że budzi się z długiego snu. Naraz melodia umilkła, pozytywka przestała wirować, wieko opadło. Czy to koniec? Czy jest już szkaradny, jak być powinien? Nagle, zdał sobie sprawę, że wcale by go to nie ucieszyło. Zbliżył pyszczek do lśniącej powierzchni bibelociku, by się przekonać. Ni z tego, ni z owego wieczko uniosło się ponownie, a z wnętrza wydobył się głos:

– To źli winni równać do dobrych, nie odwrotnie. Nie jesteś odmieńcem mój drogi, jesteś taki, jaki powinien być cały twój gatunek. Nie ty wymagasz naprawy, lecz pozostali. To właśnie się dokonało! Bądź szczęśliwy wśród szczęśliwych. I, na litość boską, zacznij używać mowy! Masz taki piękny, głęboki głos. Pozdrawiam znad Gangesu, pierońsko tu duszno...

Wieczko opadło. Zaczęły się czary. Z kątów, szczelin, z komór, zza pieców wychodziły na światło słoneczne beboki, ale jakie! Były po prostu piękne, majestatyczne i zabawne jednocześnie. Wszystkie, mniej lub bardziej, przypominały odmieńca. Od tego dnia nie było istot bardziej szlachetnych, rozmiłowanych w muzyce i porządku niż one. Każda gospodyni zapraszała je pod swój dach, stawiając miseczkę z miodem i mlekiem na progu. Matki powierzały im opiekę nad niemowlętami, co wcześniej byłoby uznane za szaleństwo. Co się stało z białym drzewem? – zapytacie. Nie ma go już, zniknęło, a może po prostu nikt nie potrafi go odnaleźć? Co roku nowe beboki rodzą się zgodnie z prawami natury, ze swych matek, i od razu są gotowe do pracy i zabawy. Czemu nie zmieniono nazwy tym pożytecznym stworzonkom? Same sobie tego nie życzyły. Sentyment. A ten, od którego wszystko się zaczęło, siada nieraz na nagrzanym przez słońce kamieniu i swym czystym, czarownym głosem opowiada:

– Czy wy znacie beboka, który bujał w obłokach? Nie przeląkł się kamieni, cały ród swój odmienił...